

№ 47. Rok XVI.

Dnia 9 (21) Listopada 1896 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Kangury drzewne.

KANGURY DRZEWNE.

Liczna w swych odmianach rodzina kangurów właściwą jest przeważnie ziemiom Australii, gdzie też wszystkie pokrewne im zwierzęta workowate mają obecnie prawie wyłączną swą ojczyznę, jakkolwiek odkopaliska przedhistoryczne wykazały uczonym, że niegdyś i ląd stały starego świata posiadał olbrzymie ich okazy.

Oryginalne pod wielu względami w swej budowie zwierzęta workowate otrzymały swą nazwę od głębokich fałd skóry, czyli worków, znajdujących się po obu bokach, lub pod spodem, któremi przyroda zaopatrzyła samice, a które służą jej dzieciom za schronienie aż do czasu, póki nie zostaną zupełnie odchowane i samodzielnie żyć zacząć.

Zajmujące pośrednie miejsce między drapieżnymi i owadożernymi a gryzoniami, zwierzęta workowate żywią się jedne mięsami, inne roślinami pokarmami i stosownie do tego posiadają najrozmaitsze uzębienie i wiodą też najrozmaitszy sposób życia.

Nawet oddzielnie biorąc rodzinę samych kangurów, spotykamy wśród nich całkiem odmienne gatunki, różniące się przedewszystkiem wzrostem i warunkami życia; więc od tak zwanych „olbrzymich”, których miara wraz długim ogonem dochodzi przeszło dwóch metrów długości, do kangurów szczurowatych, będących jakby karłami tego rodu, znanych jest kilka pośrednich odmian.

Ogólnie jednak, gdy łebek, piersi i przednie nóżki są u tych zwierząt drobne i o delikatnych liniach, tylna część bywa nieproporcjonalnie rozwiniętą, największą zaś nieproporcjonalnością rażą tylne nogi, które do sześciu razy są dłuższe od przednich małych łapek, oraz ogon gruby i silny, długości prawie całego zwierzęcia, jak przedstawia rycina nasza. To też kangur nie chodzi nigdy na czterech kończynach, lecz w biegu posługuje się wyłącznie tylnymi jedynie, skacząc w wielkich susach tak zwinnie, że i najszybciej goniące psy nie są w stanie mu dorównać.

W spoczynku przybiera to zwierzę również sobie tylko właściwy układ, który je czyni podobnem do „służących” piesków pokojowych, i gdy tak przysiadzie na tylnych nogach, rozglądając się bystro po obszernych, wysoką trawą zarosłych równinach, i których roślinnością się żywi, wygląda zdaleka, jak stojąca małpa.

Jeżeli jednak na ziemi przedstawiają kangury ciekawy okaz, tem oryginalniejszą jest ich odmiana, żyjąca przeważnie na drzewach i musimy przyznać, że trudno o coś mniej na pozór stosownego, jak widok zawieszonego na gałęziach tego wielkiego i ciężkiego zwierzęcia.

A jednak kangury drzewne czują się tam zupełnie swobodnie, i podróżny, któremu się uda podpatrzeć go w chwili, gdy się zabawia najróżnorodniejszymi figlami akrobatycznymi, musi przyznać, że w swych ruchach ma zręczność małpy lub wiewiórki.

Jak braciom jego na ziemi w dalekich skokach, tak kangurowi drzewnemu nieobliczone usługi oddaje niezmiernie długi, sprężysty ogon, którym zwierzę czepia się gałęzi, jakby piątą nogą, albo zawiesza się całym ciałem, bujając swobodnie w powietrzu. Łaząc po drzewach, kangur drzewny posługuje się również przednimi nogami, znacznie dłuższymi, jak u tych, które wyłącznie na ziemi żyją. Nadto gdy u tamtych tylne jedynie kończyny uzbrojone są w dwa ostre pazury, któremi zwierzę umie zadać napastującym go ludziom lub zwierzętom śmiertelne nieraz ciosy, kangur drzewny ma u wszystkich czterech nóg tę broń niebezpieczną. Płochliwy i czujny na łada szelest, w którym upatruje niebezpieczeństwo, okazuje on znowu bystrość wielką, gdy, znienacka zaskoczony, musi się bronić, by uratować życie, na które dla smaczności jego mięsa chętnie godzi krajowiec.

M. D.

Wiersz Seweryny Duchńskiej

Z OKAZYI STULETNIJ PAMIĄTKI URODZIN

STANISŁAWA JACHOWICZA,

Sto lat temu anioł z nieba
Zstąpił do nas w błogą chwilę,
Takie gody uczcić trzeba,
Tyle on nam przyniósł, tyle!

On w serduszka dziatwy małej
Rzucał Boży siew obficie,
Ziarna z cicha kiełkowały
I starczyło ich na życie.

Z ojców, z matek szły na synów,
Wie, kto plony te oblicza
Iż do zacnych tyłu czynów
Szła pobudka Jachowicza.

Kto zbudował tę ochronę,
Kto jej pierwszy dał początek,
Gdzie dziateczki przytulone
Mają cichy swój zakątek?...

W zgodzie z ludźmi, w zgodzie z niebem
Kto rozsiewał czar tak słodki?
Kto odjętem od ust chlebem
Karmił starce i sierotki?

Kto po ziemi tej od młodu
Istny anioł stąpił z cicha,
Poił drugich kroplą miodu,
A sam gorycz pił z kielicha,

Kto jak szermierz lat czterdzieści
Widmo nędzy ścigał wszędzie,
Tego właśnie każdy wieści
W dobroczyńców pierwszym rzędzie.

Wieki żyją tobą chwała,
O! nie mara to zwodnicza,
A więc uczcić nam przystało,
Godnie pamięć Jachowicza.

DŁUG OJCOWSKI

POWIEŚĆ

przez E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg).

Ze schodów, wiodących do sieni, zerwał się nieduży chłopiec, szczupły i wątły dosyć, ubrany w odzież odświętną, ale w której znać było tandetę i starzyznę. Stan od surduta sięgał mu za biodra, a spodnie musiał pozawijać od dołu, gdyż inaczej chodziłby mu trudno było. Był to chłopiec od szewca, mieszkającego w suterenach. Od chwili sprowadzenia się do domu pani Cićciwiczowej Janek zauważył niedużego chłopaczka, który co wieczór — gdyż dzień miał zajęty przy robocie — siedząc na schodach, lub w kącie podwórza, wygrywał na lichych skrzypceczkach. Janka uderzyły w grze tej niewyrobionej czystość tonu i melodyjność, tylko nie mógł zauważyć tego, że ile razy brał on skrzypce do ręki, chłopiec chował swoje, biegł pędem pod okno i, przytulony do muru, słuchał jak zaczarowany, dopóki Janek grać nie prze-

stał. Jednego razu Janek, podnosząc oczy od książki, zobaczył czyjąś głowę w swoim oknie. Podszedł cicho i wyrzwał: był to ów chłopak, który, wspinając się, zaglądał do jego pokoju.

— A ty czego chcesz? — zapytał.

Schwytny na gorącym uczynku, chłopiec podniósł na Janka błagające spojrzenie, nie śmiejąc mówić, w końcu wybelkotał lekliwie:

— A to ja chciałem zobaczyć, czy pan dzisiaj nie będzie grał?

— A ciebie co to może obchodzić? — pytał z uśmiechem Janek.

— Bo.. bo jabym tutaj słuchał pod oknem — szepnął, nie podnosząc oczu.

— To ty wygrywasz tak zawsze na swoich skrzypcach?

Chłopiec jeszcze niżej spuścił głowę i bardziej się zaczerwienił.

— Ii, takie to tam moje granie — mruknął.

— A na moich skrzypcach chciałyś spróbować, co?

Podniósł na Janka rozpromienione oczy.

— Co też to pan mówi! Pan sobie żartuje ze mnie. Gdzieżby tam!

— Nie żartuję, chodź, spróbujesz.

Chłopiec nie przyszedł, wpadł raczej. Gdy ujmował skrzypce Janka, ręce mu drżały. Janek pokazał mu jak należy trzymać prawidłowo instrument, pokazał mu jak brać zasadnicze tony i kazał przy sobie powtórzyć. Chłopiec zasłuchany, z otwartymi ustami, i oczami wlepionymi w twarz Janka wyglądał, jakby się lękał stracić najmniejszego jego słowa, najdelikatniejszego tonu skrzypiec, a pojął wszystko i wykonał z nadzwyczajną łatwością. Po pół godziny pierwszej tej próby powiedział mu Janek, aby w wolnych chwilach przychodził do niego, to go będzie uczył grać na skrzypcach. Józio o mało nie wyskoczył ze skóry z wielkiej radości, rzucił się do Janka i, pomimo jego wzbraniania, całował go po rękach i kolanach, bełkocąc jakieś niezrozumiałe słowa podzięk. Odtąd przychodził na lekcje muzyki kilka razy tygodniowo, a Jankowi prawdziwą radość sprawiało uczenie tego biednego szewczyka, którego postępy były rzeczywiście zadziwiające.

— Coby to za radość była dla mnie, gdyby z tego biednego chłopca wyrósł kiedyś artysta — myślał Janek, który miał trochę skłonności do marzycielstwa. I teraz właśnie, zawoławszy Józia, przeszło godzinę miał z nim lekcje, a po każdej z nich biedny chłopiec całował go po rękach i dziękował mu z zapalem jak za największe dobrodziejstwo. Zaledwie się drzwi za Józiem zamknęły, gdy weszła służąca od pani Cięciewiczowej, mówiąc:

— Pani się pyta, czy pan będzie łaskaw zejść na herbatę, czy każe sobie ją przynieść do swego pokoju?

Janek, który nie chciał robić swoją osobą kłopotu gościnniemu domu, zszedł na herbatę do pokoju jadalnego, po zakończeniu której wyrzekł, spoglądając na zegarek:

— Pani pozwoli, że ją dzisiaj pożegnają, gdyż jutro nie będę mógł prawdopodobnie tego skutecznie.

— O! panie Ostrowiecki, panie Ostrowiecki! — zawołała z wybuchem żalu dobra kobieta — już nie śmiem pana dłużej prosić, bo wiem, że pan nie może przebaczyć temu niedobremu chłopcu, ale tak mi przykro, że rady sobie dać nie mogę. Czy zabłyśły w jej oczach i wyciągnęła rękę do Janka, spoglądając nań błagająco

— Dziękuję pani za życzliwość i gościnność, doznana w jej domu — powiedział Janek z powagą pełną godności, skłonił się raz jeszcze i wyszedł z pokoju.

Gdy wchodził do swego mieszkania, ciemno już było zupełnie, podczas gdy szukał zapalek, aby zapalić świecę, do uszu jego doszedł jakiś dziwny szmer jakby tłumionego płaczu.

— Kto tu? — zapytał.

Nikt nie odpowiedział. Janek coby prędzej zapalił świecę, a przy jej blasku zobaczył jakąś niedużą, skuloną postać

w kącie pomiędzy biurkiem a ścianą, i któż opisze jego zdumienie, kiedy w postaci tej poznał Mania.

— A ty tu co robisz? — zawołał zdumiony.

Manio nie odpowiedział, tylko siedział nieporuszony, z twarzą, którą zakrywał rękami.

— Co ci jest? czego płaczesz? — pytał, usiłując oderwać mu ręce od twarzy, co mu się w końcu udało. Manio wybuchnął na nowo płaczem, tuląc głowę do jego piersi i, obejmując go rękami, zawołał wśród łez:

— A bo jak pan odejdzie, to ja się chyba zabiję.

— Co ty mówisz? — wykrzyknął Janek.

— A tak, jak mamę kocham. Ja wiem, że mnie pan teraz nie cierpi, ma mnie w pogardzie bardziej niż psa, ale mnie okropnie żal tego, com zrobił, i wstyd... ale ja się teraz poprawię już naprawdę, przekona się pan.. Ja sam pójdę jutro zaraz do dziadka i powiem mu, że to ja rzuciłem tym kamieniem na pana, niech mnie ukarze jak najsrożej, tylko niech pan nie odchodzi i nie myśli, że ja już jestem najgorszy ze wszystkich...

— Czy ty mu masz, że mnie tak bardzo zależy na tem, abyś został ukarany? — powiedział Janek poważnie.

— O! ja wiem, że pan jest dobry i dlatego mnie taki wstyd przed panem i taki żal.. Bo przecież pan dobrze wiedział, kto pana ugodził kamieniem, a jednak nie powiedział pan przed dziadkiem, że to ja, tylko mnie jeszcze obronił.. Więc wtedy coś dziwnego się ze mną stało i powiedziałem sobie, że jestem okropnie niegodziwy, a pan jest najlepszy na świecie całym.. I dlatego proszę pana, niech mnie pan nawet wybije, ale niech pan nie odchodzi..

— Mój chłopcze — powiedział Janek — jak życie swoje nie wybiłem nikogo i nie wybiję z pewnością.

— Obaczy pan, przekona się, że ja się poprawię — powtarzał Manio.

Janek położył mu rękę na głowie i wyrzekł poważnie:

— Już raz obiecałeś mi, Maniu, poprawę, pamiętasz? wtedy — i nie dotrzymałeś słowa. Któż mi zaręczy, że gdy zaufam ci powtórnie, nie zawiedziesz mnie znowu?

— Nie zawiodę! — wykrzyknął z zapalem Manio. — Ja wiem, że mi pan nie wierzy, ale niech pan spróbuje. Jeżeli będę choć jeden raz zły, hardy, nieposłuszny, to zrobi pan tak, jak ja zrobiłem temu obrzydłemu Kondziowi: plunie mi pan w oczy, odwróci się i odejdzie już napewno. Dobrze? mój dobry, mój ukochany panie. Tylko niech pan teraz nie odchodzi i nie gniewa się na mnie, bo jabym chyba umarł z żalu.. Płakał i całował Janka po rękach, znacząc je sładami łez. Wzruszony Janek przyciągnął go i pocałował w czoło.

— Chcę wierzyć, że tym razem masz szczere postanowienie dotrzymania tego, co obiecujesz — wyrzekł. — Dobrze, więc pozostanę na próbę. Ale pamiętaj to sobie, że za pierwszą oznaką zapomnienia przez ciebie danej obietnicy, rozstaniemy się nieodwołalnie i na zawsze.

Przyszłość miała pokazać, jak Manio dotrzymuje obietnicy.

V.

Wielkie ożywienie panowało wśród uczennic na pensyi pani Kolińskiej: egzamina się skończyły, za kilka dni miał nastąpić popis, a po nim wyjazd do domu. Wyjazd do domu! mało której z pośród tych młodych dziewcząt nie biło sere radością na tę myśl samą.

Tymczasem pani przełożona zajęta była w swoim salonie z jakąś panią.

— Więc szanowna pani uważa, że moja Cesia zupełnie nieodpowiednio przysposobiona do klasy trzeciej? — mówiła owa pani z wyrazem wielkiej troski.

— Nie, pani, tego nie utrzymuję — wyrzekła pani przełożona z łagodnym uśmiechem — tylko ponieważ córeczka pani wychowywała się za granicą, więc niezmiernie słabo włada rodzowitym językiem; pisząc, robi błędy takie, jakich nie popełnia uczennica ze wstępnej klasy.

Przybyła pani westchnęła.

— To wszystko sprawiło to, żeśmy musieli przebywać za granicą, gdzie mąż mój miał ważne i korzystne zajęcia — powiedziała. — Cesią moją tam się uczyła na pensyi, więc też dlatego teraz tak jej ciężko idzie w rodowitym języku ku mojemu i jej zmartwieniu.

— Dziewczynka jest bardzo zdolna — mówiła dalej przełożona — co do nauki posunięta jest tak, że mogłaby zostać przyjętą do czwartej klasy, tylko ta okoliczność, o której mówię, utrudnia jej wszystko.

— Więc jaka na to rada, proszę pani?

— Niech pani weźmie na czas wakacji jaką zdolną, wykształconą osobę, któraby popracowała nad nią przez te parę miesięcy.

— To samo mówiliśmy z mężem! — zawołała pani. — I właśnie chcę pani prosić, czyby nie była łaskawą następczynią mi jakiej dobrej, wykształconej panienki, któraby na czas wakacji podjęła się dawania korepetycji mojej dziewczynce.



Piotr Skarga Pawęski.

— Pani przełożona zamyśliła się.

— Doprawdy nie wiem, czy będę mogła znaleźć taką — wyrzekła.

— Możeby która z panienek z pensyi pani podjęła się tego?

— Wątpię, wszystkie one rozjeżdżają się do domu, pojmuję pani, co to jest dla młodego stworzenia wyrwanie się na swobodę z murów dużego miasta po roku ślęczenia nad książką — powiedziała pani przełożona z uśmiechem.

— My też wyjeżdżamy na letnie mieszkanie do Otwocka, gdzie mamy własną willę; zabierałabym ją z sobą.

— Nie wiem, ale pomówię z panienkami z klas wyższych; niech pani będzie łaskawa pofatygować się za dni parę, dam jej stanowczą odpowiedź.

— Wdzięczną będę pani nieskończenie — zawołała pani z żywością. — Tylko idzie o warunki. Oprócz Cesi mam jeszcze drugą córeczkę, Ewcię; pragnęłabym, aby i ona mogła także korzystać przy nauczycielce. W każdym razie liczba godzin lekcyj nie wyniesie więcej, jak trzy godziny dziennie, za co przeznaczam pięćdziesiąt rubli za cały czas wakacyj. Czy to dostateczne, proszę pani?

Pani przełożona zastanowiła się chwilę.

— Tak, to dostateczne — wyrzekła.

— Zresztą, z pobytu w naszym domu każda nauczycielka była zadowolona i nie miała powodu narzekać na mnie i na swoje uczennice — dodała pani z uśmiechem.

— O tem nie wątpię — odrzekła pani przełożona.

Pani powstała, zaczęła się żegnać i wyszła, polecając sprawę swoją opiece pani Kolińskiej.

Tego samego dnia pani przełożona, zawoławszy do siebie uczennice z klas wyższych, przełożyła im propozycję pani Romańskiej, dodając, że jeżeliby która z panienek chciała się na to zdecydować, aby ją uprzedziła o tem dnia następnego. Ale nazajutrz żadna się nie zgodziła.

— Żeby nie ta okoliczność, iż z mamą jedziemy do Zakopanego, zgodziłabym się do pani Romańskiej — mówiła Elcia, chodząc wieczorem po ogródku pod rękę ze Stenią.

— Więc żadna z panienek nie zgodziła się na to? — spytała Stenia.

— Żadna.

— To... to mnie tam daj... — wyrzekła nieśmiało.

— Ciebie? co ty mówisz! — krzyknęła Elcia. — Toć ty godziny, minuty rachujesz, kiedy pofruniesz do swojej Ostrowy, a teraz chciałabyś zostać, żeby dawać lekcje?

Stenia spuściła głowę.

— No, tak — wyrzekła ze smutkiem — ale widzisz, Ostrowa puszczona w dzierżawę ludziom obcym.

— Którzy jednakowoż taki uprzejmy list napisali do ciebie, zapraszając, abyście przybyli z bratem.

— Tak, bo to nam stryj wymówił.

— A ty takeś pragnęła ujrzeć to twoje ulubione siedlisko, że usychałaś prawie do tej chwili.

— Tak, ale widzisz... ja bym tak chciała zarobić te pięćdziesiąt rubli... — szepnęła. — Chciałam nawet zaraz wtedy poprosić twojej mamy, aby mnie zarekomendowała, ale myślałam, że która z panienek zechce to zarobić, że może potrzebuje na swoje utrzymanie, a dla mnie stryj przysyła, więc dałam pokój temu, ale teraz skoro żadna się nie zgłosiła, to ja chyba mogę...

— A czy pan Jan pozwoli ci na to?

— On także nie pojedzie do Ostrowy.

— Dlaczego?

— Jedzie do kąpieli morskich, do Sobot ze swymi dwoma uczniami, małymi Cięciewiczami.

— Czy to oni nie mają rodziców?

— Mają matkę, która przeszłego jeszcze roku wyszła jako wdowa za mąż, za człowieka zresztą dobrego i porządnego. Ale chłopcy tak są przywiązani do Janka, że nie masz pojęcia. Słuchają go we wszystkim jak wyroczni, i na samo przypuszczenie rozstania się z nim gotowi są obaj płakać. Janek byłby ich zabrał z sobą do Ostrowy, gdyby tak było jak dawniej. Tymczasem pani Wilska — tak się obecnie nazywa z męża pani Cięciewiczowa — z porady lekarzy wyjeżdża do Karlsbadu, dzieciom zaś, szczególnie dla młodszego, który jest bardzo słabowity, zalecono kąpiele morskie i państwo Wilsy, którzy mają w Janku nieograniczone zaufanie, uprosili go, aby tam pojechał z chłopcami.

— Pomimo tego, pan Jan będzie wolał, abyś była w Ostrowej na czas wakacyj.

— Wolałby, gdyby tam nie było ospy. Ale on jest tem bardzo zaniepokojony, zwłaszcza, że wybuchła w dworze, i dwie dziewczęta służebne zachorowały, o czem napisał do niego pan Dulski, dzierżawca Ostrowej, nie chcąc brać odpowiedzialności na siebie.

— Tak? czemuś mi o tem nie mówiła.

— Więc widzisz, nie mam się gdzie podziać — uśmiechnęła się Stenia. — Z paniami nie mogę wyjechać do Zakopanego, ani z Jankiem do Sobot, tem chętniej więc pojedę z panią Romańską do Otwocka.

Elcia zdawała się ostatecznie przekonaną tym argumentem, Stenia mówiła dalej:

— Pójdę się tylko rozmówić z Jankiem. Dziś po południu panna Berta wychodzi do miasta za interesami, popro-

sze twojej mamy, żeby mi pozwoliła z nią pójść, to wstąpię do Janka, a z powrotem on mnie odprowadzi.

Jakoż Stenia przeprowadziła swój zamiar do skutku i po południu poszła z panią Bertą, która przyprowadziła ją do samej sieni kamienicy pani Cięciewiczowej, obecnie pani Wilskiej, a sama poszła dalej.

Stenia pobiegła do mieszkania brata, tymczasem nie zastała go i drzwi zastała zamknięte.

— Panienska chciała się pewnie z braciszkiem zobaczyć? — przemówiła do niej jakaś kobieta o bardzo przyjemnej powierzchowności, patrząc na nią z życzliwym uśmiechem, gdy Stenia, nie wiedząc co robić z sobą, zaczęła chodzić z mi-

i mówi do mnie: „widzi mama, panienska szuka brata, niech mama poprosi, żeby zaczekała, bo pan przyjdzie zaraz”.

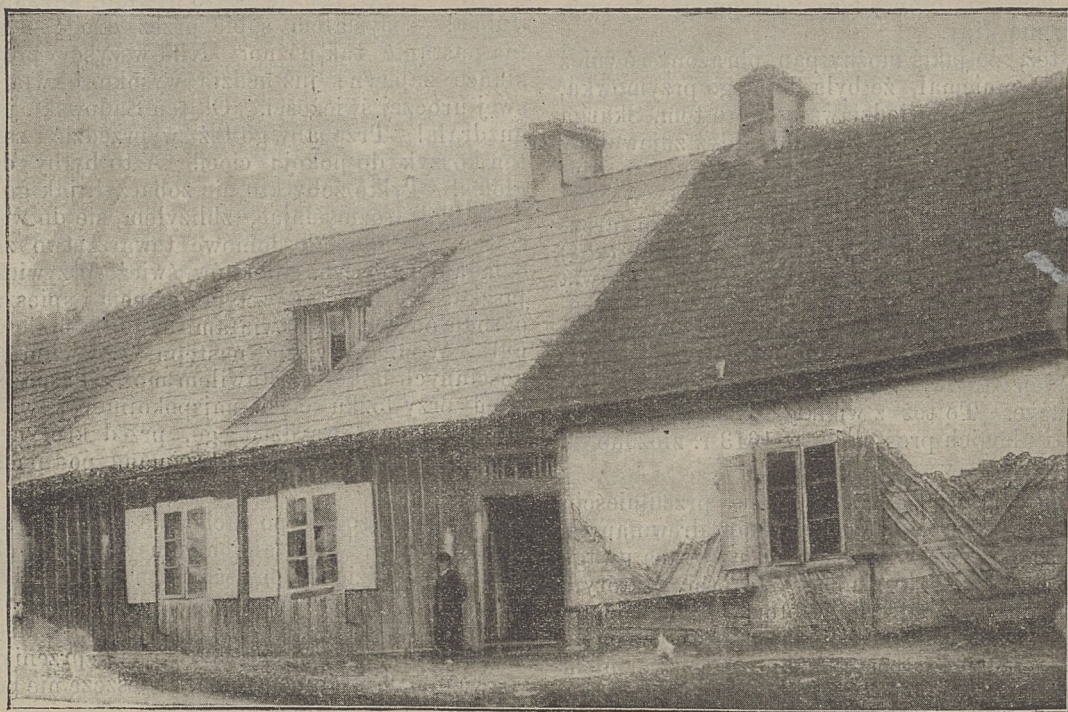
— To syn pani ten Józio, który się uczy od mego brata?

— A syn, proszę panienski — odrzekła kobieta z rozpromienioną uśmiechem twarzą.

— Oddawna chciałam go poznać — mówiła Stenia — brat opowiada mi zawsze o nim.

— Oh! a on, toby za panem w piekło wpadł. Bo też my panu do samej śmierci nie wywdzięczymy się za to, jaki jest dobry dla naszego chłopca — mówiła, rozrzewniając się.

(d. c. n.)



Dom w Grójcu w którym się urodził Piotr Skarga.

na zakłopotaną po dziedzińcu, rozmyślając: czy pobiedz dogonić pannę Bertę i bez widzenia się z Jankiem wrócić do domu, czy też wstąpić do pani Wilskiej i poprosić jej, aby jej pozwoliła zaczekać na brata.

— A tak — odrzekła Stenia — chciałam się zobaczyć z bratem, ale jego niema w domu.

— Pan nadejdzie zapewne niedługo, to może panienska pędzie łaskawa wstąpić do nas i czekać chwileczkę?

— A skąd pani wie o tem, że on niedługo wróci?

— Bo mój Józiek powiada, że za kwadrans będzie gozina lekcyi, a pan jest taki punktualny, że nigdy godziny nie rzepatrzy. Mój Józiek to już tak za panem patrzy, jak, nie rzymierzając, dziecko za rodzonym ojcem, i wie najlepiej, kiedy pan wychodzi a kiedy wraca. Więc jak panienskę zoczył przez okno, tak zaraz poznał, że panienska musi być ostra pana, bo tak do niego podobna, jak dwie krople wody,

Piotr Skarga Pawęski.

W Grójcu, ubogiej mieścinie w pobliżu Warszawy, w domu, którego podobiznę tu widzicie, urodził się w 1538 r. słynny kaznodzieja Piotr Skarga Pawęski, o którym powiedziano, że trzymał w ręku serca ludzkie i obracał niemi, jak chciał, przez dziwną jemu tylko daną wymowę.

Pogrzebowe kazania jego i inne przygodne, pozostały na zawsze jako wzory prawdziwej pobożności i miłości ogólnego dobra.

Kiedy Niemcy i Francuzi mieli jeszcze język bardzo niewykształcony, przemówienia Skargi z początków XVII wieku są pisane tak pięknie, że dziś jeszcze za wzory stylu służyć mogą. Znany w piśmiennictwie krajowym biskup Woronicz zwykł był mówić: Chcesz li zostać dobrym kaznodzieją:

czytaj Skargę; filozofem — czytaj Skargę; dziejopisem — czytaj Skargę; dobrym chrześcijaninem; czytaj Skargę, bo Skarga jest wszystkim dla wszystkich *). Ukończywszy pierwsze nauki w rodzinnym mieście, Piotr Skarga kształcił się następnie w akademii Krakowskiej, gdzie uzyskał stopień doktora filozofii. Pracował potem czas jakiś w nauczycielskim zawodzie, a udawszy się do Rzymu wraz z jednym z uczniów swoich, obłąkł tamże suknię zakonną. Powróciwszy do kraju, uzyskał niezadługo wstęp do najpierwszych warstw społeczeństwa, zalecając się zarówno jak natchnioną wymową wszystkimi chrześcijańskimi cnotami. Nierad przebywał w pałacach możnych, mieszkał zwykle w skromnej izdebce, i gdy mu mówiono, że nie takie mieszkanie przystoi dla rozgłośnego kaznodziei, odpowiadał:

— Ale takie dla ubogiego kapłana.

Mówił zwykle śmiało z kazalnicy, nie schlebując wadom ówczesnym, a lubo słowa jego nacechowane były zawsze chrześcijańską słodyczą i wyrozumiałością, narażał się niekiedy. Pewnym razem otrzymał ciężką obelgę od nierozważnego młodzieńca, który sądził, że przyganiał w swej mowie jego postępowaniu. Przyjaciele Skargi chcieli śmiercią ukarać zuchwalca, lecz świątobliwy mąż nie dopuścił tego i wyprosił mu przebaczenie winy.

Zdarzyło się też, że jakiś możny pan, obrażony również kazaniem, w którym mniemał, że była do niego przymówka, nastawał na jego życie. Dowiedziawszy się o tem, Skarga sam poszedł do domu jego i tem się ocalił, gdyż zniewolony postawą i słodkimi obejściami kaznodziei wróg jego przyjął go gościnnie i rozstał się z nim w najlepszej zgodzie. W czasie pobytu swego w Krakowie Skarga założył tam arcybractwo miłosierdzia i tak zwany bank pobożny (*mons pietatis*) gdzie lud ubogi po dziś dzień w ciężkich chwilach zastawia niepotrzebną przez lato odzież zimową, a odbierając ją na jesieni, gdy coś zarobi, ocalony bywa od wyzysku lichwiarzy. Zakład ten rozszerzał dokoła wpływ swój dobroczynny, wtedy, gdy w innych krajach zaledwie w wiele lat później pojawiły się podobne instytucje. To też z wielką czcią i żalem zarówno możnych jak i ubogich prostaków w 1613 r. złożono do grobu zwłoki Skargi.

Obecnie pisma nasze ogłosiły, że na przedmieściu Grójca, zwanem „Skargów” wśród budynków drewnianych i murowanych, niesymetrycznie rozrzuconych, zwraca uwagę domek modrzewiowy, zapadły w ziemię ze starości, w którym przed trzema wiekami narodził się złotousty kaznodzieja i znakomity pisarz, duchowieństwo zaś miejscowe i w ogóle całego dekanatu grójeckiego postanowiło za pozwoleniem władzy zbierać składki na ocalenie od zagłady tej pamiątki.

PIĄTASZEK.

(OPOWIADANIE MŁODEGO CHEOPCA).

(Dalszy ciąg).

O! jakżeśmy wszyscy pragnęli tych imienin. Ileż to na ten dzień przygotowywano sobie wzajemnych niespodzianek. Ja sam, chociaż niezbyt celujący w rysunku, pod kierownictwem pana Twardzickiego wymalowałem na brystolu aż dwa wieńce kwiatów, w pośrodku których mieściły się ułożone również przezemnie powinszowania dla dwóch starszych, drogich solenizantek. Dla Helenki zaś kupiłem za własne pieniądze prześliczny koszyczek, jakiego oddawna pragnęła.

*) Przydomek Skarga, który mu zastępował później właściwe nazwisko Pawełski, nadany został dziadkowi jego przez księcia Janusza Mazowieckiego, przed którym tenże często się skarżył. Zawsze się tak uskarżał, miły Pawełski, miał rzec książę, że mógłbyś się raczej Skargą nazywać.

Chcąc mieć spokojniejszą głowę w dniu tak uroczystym, w wigilię imienin, a było to znowu w piątek, jeszcze po herbacie wybiegłem z książką do ogrodu, dla nauczania się wyjątków trzeciej deklinacji łacińskiej. Powtórzywszy takowe parę razy w altanie, z wielkiem zadowoleniem miałem już wrócić do swego pokoju, kiedy wtem, spojrzawszy przypadkiem w stronę ciepłarni, ujrzałem wychodzącego z niego ogrodnika z koszem kwiatów.

— Ach, mój Sadowski! — zawołałem biegnąc ku niemu — pozwólże mi na chwilę przypatrzeć się tym cudownym kwiatom, ułożonym w tym koszyku.

— Cyt — odpowiedział z cicha — niech tam panicz sobie patrzy, ile zechce, ale niech nie mówi tak głośno, bo to podarunek, przeznaczony na jutro dla pani Julii i muszę go tu postawić w krzakach nad sadzawką, iżby był świeży na jutro rano!

Kwiaty rzeczywiście były dobrane i ułożone precudownie. Popatrzywszy na nie jeszcze trochę rozstałem się z ogrodnikiem, zapamiętawszy doskonale miejsce, gdzie ustawił swój koszyk.

— Ach! jak się też to uraduje śliczna, kochana ciocia Julcia! — myślałem sobie przez drogę — ale dlaczegoż to ma nastąpić tak późno? Nim wszyscy powstają we dworze słońce zapewne już będzie wysoko, i kwiaty stracą dużo ze swej uroczej świeżości. O! ten Sadowski, jaki też to z niego guzdrała! Trzebaby go też wyprzedzić i zanieść dziś jeszcze ten koszyk do pokoju cioci! A to byłby dopiero śliczny gielek! Tylko żeby kto nie zobaczył, jak go poniosę.

Tak rozmyślając, zbliżyłem się do werendy, gdzie zastałem zebrane całe domowe towarzystwo, zajęte niezmiernie oglądaniem jakichś albumów, świeżo przywiezionych przez wójcika. Skorzystał z tego zajęcia i spieszenie powróciłem do ogrodu po koszyk z kwiatami było dla mnie dziełem kilku minut. Wsunąwszy się następnie po cichuteńku, jak kot, do gościnnych pokoi, postawiłem moją śliczną zdobycz pod stołem przy łóżku cioci, najspokojniej powróciłem do siebie. Wobec pana Twardzickiego, przed którym nie ośmieliłbym się skłamać, posłużyła mi trzymana pod pachą gramatyka łacińska.

W parę godzin po zachodzie słońca uspokoiło się wszystko we dworze. Po zamienieniu serdecznych życzeń dobrej nocy, moi rodzice i ich goście porochochodzili się do swoich pokojów, i wonią wiosny przesiąknięta gwiazdzista noc majowa ukołysała wszystko do spoczynku. Ale zaledwie światła pogasły w oknach, kiedy krzyk tak przenikliwy rozległ się w gościnnych pokojach, że ci, co jeszcze nie pozasypiali, pozrywali się na równe nogi.

Wśród tych ostatnich znalazł się mój ojciec, który wybiegłszy szukać przyczyny popłochu, skierował się do gościnnych pokoi, skąd go już teraz doleciało najwyraźniej rozpaczliwe wołanie cioci Julii. Jednym skokiem stanął u drzwi, a rozwarłszy je, spotkał się z cicią i jej pokojówką uganiającą się za czemś, czego na razie nie zdołał dostrzec. Po chwili dopiero przekonał się, że przyczyną popłochu były skaczące po podłodze żaby, stworzenia, będące przedmiotem najwyższego obrzydzenia i strwogi dla mojej drogiej cioci. Niewinne te, a nawet do pewnego stopnia pożyteczne istoty nie mogły się tam znaleźć w niestosowniejszej porze. Przypalanej nakoniec lampie krążyły się one jeszcze niespokojnie, szukając wyjścia. W pokoju wszystko wyglądało jak po poboju. Obok łóżka leżał wywrócony stolik zasypany dokoła skorupami szklą i różnemi szczegółami damskiej toalety, w pobliżu zaś walał się na posadzce połamany koszyk z rozrzuconymi bezładnie i pogniecionymi bez litości owej prześlicznymi kwiatami, przeznaczonemi na niespodziankę dla cioci.

— Ach, te żaby! te żaby! I to ja sam najniewątpliwi musiałem jej przynieść z nad sadzawki w koszyku, gdzie sobie na tak ślicznym podścielisku wybrały kwatery na noc!

Rozpaczalam prawie, kiedym się nazajutrz dowiedzi o tem co się stało z moją przyczyną i chociaż, obadwaj panowie starali się w śmiech obrócić całą tę przygodę, a cioci

przez w głód na dobre chęci, przebaczyła mi całe to niemile zajście.

Sadowski najdobitniej wyraził mi swoje oburzenie za niepotrzebne wścibstwo, ale mamka moja nie pozwoliła mu dokończyć.

— Dajcież mu pokój, panie ogrodniku! Cóż on winien chudziaczek, że się narodził piętaszkim, i że mu w tym smutnym dniu gorzkiej męki Pańskiej muszą się przytrafiać różne złe przygody.

Pokazało się jednakże w skutkach, że owe żabki, które na razie okazały się tak niepotrzebnym dodatkiem do kosza kwiatów, nie tylko mi wyrządziły mi osobiście zarówno jak i innym żadnej krzywdy, ale jeszcze przyczyniły się do podwojenia uwagi i pilności z mojej strony, tak, że w końcu i sam pan Twardzicki zaczął utrzymywać, że mogę zostać jeszcze wcale porządnym gimnazystą.

Nie pamiętam już żadnej z awantur piątkowych, jakie się trafiały od czasu do czasu w ciągu pierwszego roku, przepędzonego w gimnazjum, i stąd wnoszę, że musiały należeć do mniej ważnych, ale za to przypominam sobie jedną, która mnie spotkała w domu rodzicielskim gdzie przybyłem przepędzić wakacje jako uczeń, wynagrodzony listem pochwalnym, z przejściem do klasy drugiej.

Będąc umieszczonym w Warszawie na stancyi u dalekich krewnych matki, uczęszczałem do gimnazjum z dwoma ich synami, z których starszy był zarazem moim korepetytorem, byłem przytem tak ściśle strzeżonym, że nigdy nie mogłem przynosić udziału w rozmaitych figlach i nadużyciach koleżków, przez jakie ci zwykli wmawiać w siebie i innych rzekome znaczenie i dojrzałość. Mając zaś i poza godzinami szkolnymi najpiękniejsze przykłady karności, nie nauczyłem się nawet palenia papierosów, którymi niestarsi odemnie koledzy po kątach się zaciągali. Otóż tedy, w czasie wspomnianych wakacji, pan Targoński, dzierżawiący od niedawna wieś sąsiadującą z Radełkami, przyjechawszy w jakiejś gospodarskiej sprawie do mojego ojca, przywiozł z sobą o rok starszego syna Olesia, będącego podobnie jak ja, uczniem klasy pierwszej, ale nie w Warszawie, lecz w pobliskim mieście gubernialnem. Był to chłopiec czupurny i nadzwyczaj wygadany. O szkole i nauczycielach wyrażał się lekceważąco, a chociaż dopiero po dwuletnim pobycie dostał przejście do klasy drugiej, śmiał się z tego, utrzymując, że nie warto nigdy ślepczeć nad książkami, opowiadając przytem o rozmaitych podstępach, jakie mu się nieraz udawały. Przyszan się, że wymowa jego zawróciła mi głowę, a gdy nawysmiewawszy się z mojej babskiej niesmiałości i dzieciuchowatego posłuszeństwa, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalki dla poczęstowania mnie po koleżeńsku w jednej z odleglejszych altanek, zadziwił się niezmiernie, dowiadując się, że nie palę.

— Cóż znowu! — zachichotał Oleś — a to, jak widzę, brak ci tylko śliniaka i niańki, coby cię na pasku wodziła.

Wyrazy te silnie ukłuły moją miłość własną.

— Nie potrzebuję już niańki — odrzekłem oburzony — ale wiesz dobrze, równie jak i ja, że przepisy szkolne nie pozwalają palić! — zakończyłem, wyciągając z kieszeni pomietą matrykulę gimnazjalną.

— A to mi zuch, wart medalu! — szydził mój nowy znajomy. My prawie pod oczami belfrów zaciągamy się jak Turki, a ten mi tu jeszcze na wsi będzie prawil o przepisach. No! porzuc-że te głupie skrupuły i wypal choć z jednego.

— Ależ nie paliłem nigdy! — tłumaczyłem się już słabiej.

— To spróbuj po raz pierwszy. Wyborne, kawalerskie! Istne łakocie! Patrz tylko, co to za rozkosz puszczać w górę takie kółeczka; przy nich człowiek zapomina o belfrach, puszczać ich w trąbę razem z ich jedynkami i dwójkami.

Mówiąc to, Oleś otaczał się coraz gęstszym obłokiem dymu i wydawał się tak śmiałym i prawie dorosłym w moich oczach, że mu zaczynał niemal zazdrościć. On zaś nie przestawał mnie kusić i wpród jeszcze, nim nas zawołano na podwieczorek, wsunął mi prawie gwałtem paczkę z resztą pa-

pierosów, zapewniając, że będę mu wdzięcznym za to, że mi dopomógł przedźwignąć się ze śmiesznego dziwaka w młodość *comme il faut*!

Podarunek ten długo bardzo nosiłem w kieszeni, nie śmiejąc z niego uczynić użytku, i dopiero w jakie sześć dni później, kiedy ojciec wyjechał do miasta, a matka z Helenką były zajęte przygotowywaniem wstążek i gorsetów dla pilniejszych żniwiarek na okęzne, wszedłem do mego pokoju i wyjąłem jeden papieros w zamiarze szkodliwego zapowiedzianych przez Olesia rozkoszy. Przyszło, że ręka zdrząła mi trochę w chwili pocierania zapalki o pudełko, ale zwyciężyłem wahanie i wkrótce lekki dymek zaczął się unosić z mego papierosa. Wtem drzwi otworzyły się leciuchno i w nich najniespodziewaniej ukazał się ojciec, który, wysiadłszy z bryczki poza ogrodem, wszedł do swojej kancelaryi po jakiś papier urzędowy i ztamtąd przyszedł zobaczyć, jak przepędzałem czas w mojej samotności.

— Dlaczego nie palisz? — zapytał, spostrzegłszy, że chciałem zapalony papieros wyrzucić oknem.

— Ależ, ojcuniu!

— No, pał, powiadam ci, kiedyś zaczął! — mówił dalej prawie nalegająco — pał, kiedyś umiał tak pięknie postarać się o to, czego ci dotąd nie dawano.

— To podarunek Olesia Targońskiego! — tłumaczyłem się coraz bardziej pomieszany.

— Jeżeli tak, to korzystajże z jego podarunku wraz z radą, ażebyś się sam przekonał, jak jest zbawiennym.

Drżąc z zawstydzienia, poniosłem do ust ledwie już tlejący papieros, ale zamiast doznać jakiegokolwiek przyjemności, uczułem lekki zawrót głowy i, nie dokończywszy, miałem go już rzucić na ziemię.

— Pał dalej! — rozkazał ojciec, sam podając mi zapalkę.

Łzy stanęły mi w oczach i spojrzałem prosząco na jego twarz zaszepioną. Ale on okazał się nieubłagany i dopiero kiedy pod wpływem gwałtownych młodości i bólu głowy o mało nie spadłem z krzesła, poprowadził mnie do sofy i, kazawszy się napić wody, zapytał:

— A co, jakże smakowały zakazane owoce?

Niestety! owa próba palenia wypadła dla mnie znowu w piątek, i nie wiem, czy to wskutek owych niefortunnych doznanych wrażeń, czy też przez szacunek dla nauk mego ojca, który wykazał mi na ler wymownie, jak ciężkie szkody w życiu przynosi każdemu człowiekowi mały na pozór nałóg, dość, że nigdy odtąd nie tknąłem cygara, ani papierosa, a z Olesiem Targońskim starałem się unikać odtąd wszelkich bliższych stosunków. Tak tedy na chyżych skrzydłach czasu przelatowały jedne za drugimi moje młodościowe lata. Dzięki wrodzonym zdolnościom nie miałem nigdy żadnej trudności w naukach, chociaż z drugiej strony zdarzały mi się nieraz rozmaite wypadki, które mnie narażały nie tylko na słuszne oburzenie najłaskawszych nawet na mnie profesorów, ale i ośmieszały w oczach rówieśników. Nabrawszy z wiekiem wiele niewłaściwej dumy i wysokiego rozumienia o sobie, nie lubiłem nigdy przyznać się do własnej winy, w obec kolegów zaś byłem tak szorstkim i opryskliwym, że oprócz jednego Zygmunta Świrskiego, najbliższego sąsiada na pierwszą ławce, nie miałem prawie zupełnie przyjaciół. Miłość własna zasłaniała mi oczy na moje błędy tak dalece, że już wołałem wszelkie niepowodzenia i utarczki znawiać w duszy na ową fatalność piątkową mego urodzenia, która się coraz głębiej utwierdzała w mojej duszy, strzegąc się jednakże, jak ognia, zdradzenia tej tajemnicy przed drugimi. Nie żyćzyłem sobie bynajmniej zasłanę w gimnazjum pod imieniem Piętaszka. Młodzi moi kuzynkowie, u których rodziców stałem dotąd na stancyi, dawno już byli na zagranicznych uniwersytetach, a nawet gdyby znajdowali się w Warszawie, nie byłiby za nic w świecie chcieli dokuczyć tym śmieszny przydomkiem młodościowemu, co już w tym roku miał otrzymać patent dojrzałości.

O! jakże ja go pragnąłem, tego patentu! Jakże pilnie pracowaliśmy obadwaj z Zygmuntem, ażeby nas nie ominął.

Z jakimże uniesieniem radości padliśmy sobie wzajemnie w objęcia, skorośmy się znaleźli sami wieczorem po uroczystości popisu!

Prawie tego samego dnia jeszcze spotkała mnie druga przyjemność, otrzymałem bowiem list od rodziców, naglący o śpieszny powrót do domu z powodu mającego nastąpić wkrótce wesela mojej siostry Helenki. Był to rzeczywiście najszczęśliwszy dzień mojego życia.

Przyjazd mój pomnożył również radość ogólną, a chociaż zaślubiny młodej pary odbyły się w najbliższym kółku rodzinnem bez tańców i muzyki, były one prawdziwem weselem dla wszystkich, co przyjmowali udział w ich obchodzie. Dla mnie upamiętniły się one i tem jeszcze, że w dniu tym wolno mi było po raz pierwszy wystąpić, jako dojrzałowemu młodzieńcowi, we fraku i w białym krawacie.

Skoro po wyjeździe nowożeńców wszystko powróciło do dawnego porządku, zaczęły się długie narady pomiędzy mną a rodzicami co do obrania dla mnie przyszłego zawodu. Ukochana moja mateczka, której byłem ulubieńcem, utrzymywała, że powinienem już nazawsze pozostać w domu, kształcąc się praktycznie w gospodarstwie, jako przyszły dziedzic Radełek, lecz ojciec, mając na względzie moje zdolności, nie chciał poprzestać na dotychczasowem wykształceniu, doradzając, ażebym z końcem wakacyj zapisał się na kursa agronomiczne do szkoły gospodarstwa wiejskiego.

Zdanie jego było zawsze przeważającym w rodzinie, przyjąłem je więc bez oporu, starając się tymczasem o najprzyjemniejsze zapelnienie długich dni wakacyjnych, to spiesząc z pomocą ojcu przy dozorowaniu robót w polu, to znowu odbywając długie przejażdżki konne, lub też jeżdżąc z matką w odwiedziny do sąsiadów. Najulubieńszym celem moich wycieczek był stary młyn wodny, znajdujący się w malowniczym położeniu o parę wiorst od Radełek. Siadywałem tam nieraz po parę godzin na pięknem wzgórzu, przywiązawszy konia do olbrzymiej dzikiej gruszy, która mnie osłaniała swoim cieniem. Pamiętam, że było to już około połowy sierpnia, kiedy, znużony jazdą, zsiadłem z mego kasztanka i, wyjąwszy z kieszeni jakąś gazetę, zacząłem czytać wcale już nieświeże wiadomości, kiedy wtem, spojrzawszy mimowolnie ku rzece, spostrzegłem kilku wiejskich chłopców, z których jeden długą żerdzią usiłował koniecznie przyciągnąć do siebie jakąś deseczkę, płynącą po wodzie. Daremne to usiłowanie byłoby zapewne długo jeszcze bawiło małych swawolników, gdyby nie to, że ich uparty towarzysz w nierozwadze swojej, wyciągnawszy rękę zbyt daleko, nie osunął się nagle, padając w wodę z głośnieńm pluśnięciem.

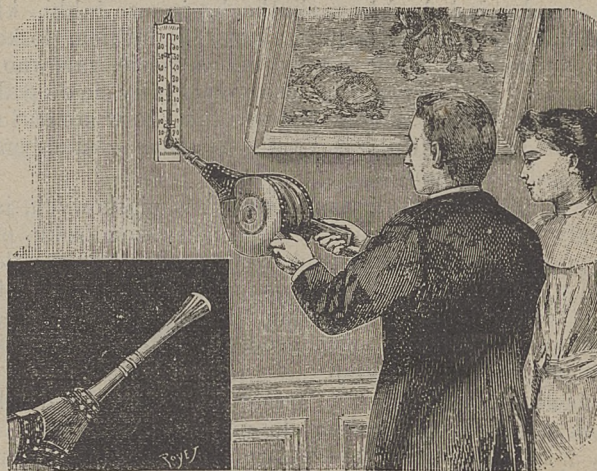
W jednej chwili rozproszona gromadka rozpieczęła się, wołając o pomoc, ale szum wody spadającej na koła młyńskie przygłuszał te dziecięce głosy, a ja, widząc odrazu, że nimby ktokolwiek z dalej będących ludzi mógł pospieszyć na ratunek chłopcu, ten już oddawna znalazłby się na najbystrzejszym prądzie rzeki, nie namysławiając się dłużej, rzuciłem się w wodę i z wielkim trudem dosięgnawszy tonącego, wyniosłem go na brzeg. Po jakimś czasie kwadransie dopiero, kiedy już zdołałem wreszcie przyprowadzić do przytomności wystraszone dziecko, nadbiegł młynarz wraz ze swoją żoną i parobkami, ogłuszony beładnym wrzaskiem małych wieśniaków,

co w przestachu swoim zapomnieli o miejscu, gdzie się rzył wypadek.

— Mój Jacuś! mój Jacuś! moje jedyne dziecko! utonął! — szlochała młynarka, biegnąc jak obłąkana ku rzece.

— Nie utonął, nie utonął, gosposiu! — krzyknąłem, pokazując jej już siedzącego przy sobie chłopca.

(d. c. n.)



Ciepło lub zimno wytworzone dmuchawką.

Jeżeli położymy rękę przed otwór dmuchawki czy mieszka, doznajemy uczucia chłodu, co jednak będzie, jeżeli skierujemy jej otwór na kulkę z rtęcią u termometru? Słpek rtęci opadnie w rurce, powie mi wielu z czytelników — i pozornie rzeczy biorąc, takby być powinno. A jednak, jeżeli mieszek jest większy, a my poruszamy nim szybko, wtemczas ku wielkiemu zdziwieniu sprawdzić możemy, że rtęć podniosła się od 4 do 5° setnej skali, co oczywiście zdradza do znaczne podniesienie temperatury. Ten ciekawy objaw wykazuje nam, że ciała lotne, a szczególnie powietrze, ogrzewają się przy ściśnieniu.

Jeżelibyśmy teraz chcieli tenże sam mieszek zamienić na maszynkę do robienia lodu, wystarcza nam otoczyć jego otwór bibułą, pociętą w frendzelki tak zupełnie, jak kucharka ozdabia kość u pieczeniu lub szynki, a umoczywszy ją w eterze, benzynie lub innym łatwo ulatniającym się płynie, począć dmuchać mieszkem. Po dość krótkim stosunkowo czasie zobaczymy, że bibuła okryła się powłoką białego szronu. W ten sposób powstały lód otrzymaliśmy przez nagłe oziębienie pary wodnej, znajdującej się w powietrzu, oziębienie zaś jest skutkiem szybszego, jak w zwyczajnych warunkach ulatniania się benzyny, lub innego ciała lotnego, którym bibuła była zwilżoną.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Kangury drzewne przez M. D. (z ryc.) — Wiersz Seweryny Duchieńskiej z okazji stuletniej pamiątki urodzin Stanisława Jachowicza. — Dług ojcowski, powieść przez E. Jerlicza. — Piotr Skarga Pawęski (z ryc.) — Piątaszek (opowiadanie młodego chłopca). — Ciepło lub zimno wytworzone dmuchawką (z ryc.) — Dodatek: Kąpiel, wiersz przez Z. M. (z ryc.) — Z dzienniczka Maryleci przez Maryę Weryho. — Przypomnienie przez H. Go-t. — Królestwo złocińców. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Robinson kanadyjski, przekład P. Gr.

WIECZORY RODZINNE

KĄPIEL.

Postawił ktoś z wodą wanienkę w ogrodzie;
Józia nigdy swej lalki nie kąpała w wodzie,
Lecz ujrzawszy tak nisko stojącą wanienkę,
Rzekła: „warto wykąpać mą śliczną Basieńkę”.
Więc buch w wodę!

Lalka pływa,
Ach, tak, pływa — jakby żywa!
Trzepie rączką — główką kręci,
Józie woda również nęci..
Pluska rączką, lalkę myje;
Buzię, rączki, białą szyję!
Lecz po chwili, cóż się stało?
Rozczochrana jak poczwara,
Brzydka jakaś tylko mara,
Znikły usta i rumieńce..
Józia płacze po Basieńce!

Z. M.



Z dzienniczka Marylci.

Dzień piąty.

Przyznam się, że nie mam wielkiej ochoty opisywać dnia dzisiejszego, ale że postanowiłam wszystko notować, więc napiszę.

Dziś Janek znowu oprowadzał nas po gospodarstwie i pokazywał też swoją wychowaną.

Dobra mi wychowanka — świnka, dlatego też nie chciało mi się zapisywać w dzienniczku o takim stworzeniu.

Trudno sobie wyobrazić, żeby jedno stworzenie miało tyle wad, bo to i nieporządna i żarłoczna, głupia i uparta, — naturalnie, że Janek o tem nie wspominał, ale Wańdzia opowiadała mi to w sekrecie. Szczególny ma świnka pociąg do błota, niech tylko jaką kałużę na drodze zobaczy, już wchodzi w nią i zanurza się w błocie po sam nos. Janek tłumaczy ją jak może, powiada, że robi to ona dla ochłody, że lubi wilgoć... Ale, co tu mówić; ona i do koryta, z którego je, wchodzi z nogami.

Janek powiada, że jego wychowanka jest wielkiej pocziwości: nie wybredza w jedzeniu. To prawda — ona niczem nie pogardza... ale wstydzę się doprawdy napisać, co ona zjada.

Jankowi zdaje się, że jego świnka jest do niego przywiązana, ja tego wcale nie widzę. Jak ją zawoła — to

idzie, ale poszłaby do każdego, ktoby jej co dał zjeść — bo jest poprostu nienasycona. A jaki głos ma nieprzyjemny!

Prawdziwą uciechę miałam, patrząc, jak ona z psem wojuje. Nienawidzą się ze sobą, i jedno drugiemu wciąż dokucza. Burek udaje zucha i szczeka na nią; świnka z początku ucieka, a później odwraca się i nastawia kły, niby chce ugryźć, a wtedy pies spuszcza ogon i zmyka, a świnka za nim.

Janek szczyci się nią bardzo, powiada, że pożyteczniejszego stworzenia na świecie niema, że lepszego mięsa nad schab i szynkę oko ludzkie nie widziało, że słonina każdemu w domu się przyda, że skóra jej najmocniejsza ze wszystkich skór na świecie, że z jej szczeciny najlepsze szczotki wyrabiają w kraju i za granicą; niech tam wszystko będzie najlepsze w świecie, ale to zwierzę nie podoba mi się, nie lubię go, jednym słowem nie lubię świń i basta!

Dzień ostatni.

O jak smutny dzień!

Od samego rana byłam markotna! Muszę odjechać, zostawić tu Wańdzię, Janka, Wacka... Dlaczego my nie mieszkamy na wsi! W Warszawie niema ani ptasząt, ani motyli, ani łąk, ani lasów... tak smutno... smutno...

Oczy mi zachodzą łzami, pisać dłużej nie mogę...

Marya Weryho.

PRZYPOMNIENIE.

KRÓLESTWO ZŁOCIEŃCÓW.

(Dalszy ciąg).

Miałem wtedy lat siedm, a więc to, co chcę wam opowiedzieć, było dawno już, bardzo dawno; mimo to pamiętam dobrze wszystkie myśli i uczucia tej chwili, która nauczyła mnie rozumieć, jak bardzo winniśmy kochać naszych rodziców, jak bardzo wystrzegać się ich martwić.

Nie pomnę dziś już, w czym właściwie zawiniłem, musiałem jednak zrobić coś złego, gdyż ojciec mój nigdy nie gniewał się na mnie bez przyczyny. Bo i niema nawet takich rodziców, którzyby bez powodu karcili swoje dziecko. Ale tym razem gniewał się nie na żarty, a gniew jego objawiał się tem, że przestawał rozmawiać ze mną, na pocałunek nie odpowiadał pocałunkiem, był zimny, obojętny. Bolało mnie to zawsze, ale teraz czułem widać, że zawiniłem bardziej, gdyż gniew ojca bolał mnie jeszcze dokuczliwiej.

Chodziłem po dziecinnym pokoju, nie mogąc znaleźć sobie żadnej rozrywki, przykre myśli cisnęły mi się do głowy. Drzwi od gabinetu były uchylone.

Zajrzałem, ojciec siedział na fotelu, trzymał gazetę; ale wzrok jego skierowany był w przeciwną stronę; patrzył na portret swojej matki, a mojej babki. Nie żyła już od lat sześciu, nie znałem jej nawet.

Odszedłem, ale przed oczami memi stała ciągle postać ojca. Coraz smutniej robiło mi się na duszy.

— Biedny tatko, on nie ma już rodziców, nie ma ani tatki ani mamy, nikogo, tylko nas, dzieci. A jeżeli my go zmartwimy, do kogoż się uda na skargę? Biedny tatko, pracuje ciężko na nas, zarabia, abyśmy mogli żyć bez troski, aby nam nic nie brakowało. Jak stara się nam zrobić zawsze przyjemność, biorąc nas do cyrku, albo kupując jakie zabawki!

I im bardziej zastanawiałem się nad sobą, tembardziej czułem się winnym.

— O! jaki ja zły jestem, jaki niewdzięczny.

Nie śmiałem przeproszać, czułem, że nie godzien jestem przebaczenia. Więc usiadłem w kąciку na małym krzesełku i zapłakałem.

Nie wiem, jak długo płakałem, ale kiedyś się ocknął, przedemną stał ojciec.

— Czemu płaczesz? — zapytał.

Nie mogłem odpowiedzieć. Łzy tamowały mi głos. To pytanie, wypowiedziane łagodnym, przyciszonym głosem, jeszcze bardziej mnie rozrzewniło.

— Ja już nigdy tatki nie zmartwię — szepnąłem — ja będę zawsze dobry dla tatki, tylko niech się tatuś nie martwi — wołałem, cisnąc do ust rękę ojca. — Ja się poprawię — mówiłem przez łzy — byłem bardzo niedobry.

Chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale nie mogłem.

A tatko wziął w swe ręce moją głowę, ucałował i rzekł:

— Dobrze, dziecko moje. Bądź dobrym, bo wy jesteście dla mnie wszystkiem na świecie!

H. Go-t.

— Przepraszam cię — rzekł Promyczek, nie chcąc go rozgniewać — w każdym innym czasie słuchałbym cię chętnie, ale dziś mamy tyle do roboty. Wszak obiecałeś mi pomóc w znalezieniu cukrowego orzecha, muchy i źródła...

— No, jak tylko obiecałem to jakbyś miał w kieszeni, u mnie dotrzymanie słowa to grunt, wszystkie żaby z okolicy o tem wiedzą.

Tak rechocząc, zielony panek wstał z wolna, poprawił mundurek i niedbale puścił się w drogę.

— Od czego zaczniemy? — zapytał tak, jak gdyby miał już wszystko w pogotowiu i czekał tylko rozkazu aby wytrząsnąć z rękawa.

— Wszystko mi jedno, może od orzecha.

— Niech będzie i od orzecha; chodź, tu jest jakaś leszczyna.

Zielony panek wskoczył zręcznie na krzew i jeszcze zręczniejsze skoczył, mówiąc: niema. Poczem wskoczył na drugi i także nic nie znalazł. Promyczek szukał ze swojej strony, po kilku godzinach obaj byli zmęczeni i zgrzani.

— Ej, mądry będzie, kto ten głupi orzech znajdzie — zawołał wreszcie Pięknótek ze złością.

— Czyś pewny, że to w tej stronie lasu? — zapytał Promyczek.

— Zkądże znowu mam być pewnym, las długi na parę mil, leszczyny w nim jak trawy, wszystko pochowane pod liśćmi i gdzież ty chcesz żebyś ja tu co znalazł.

— Przecież mówiłeś, że to nic łatwiejszego.

— Mówiłem. Ot tak sobie, nawet nie pamiętam czym mówił. Ani ja go nie znajduję, ani ty go nie znajdziesz.

— Przecież on mi koniecznie potrzebny — rzekł biedny Promyczek i żebyś dziesięć lat miał szukać to go znaleźć muszę.

— Szukaj wiatru w polu, ot, chodź lepiej na polowanie; byleby tylko muchę złapać, to sobie już jakoś z wieiórką poradzimy.

— Czy nie lepiej z jednym najpierw skończyć?

— Co ci na tem zależy, nie wszystko jedno jakim porządkiem, wreszcie tłumaczę ci, że orzech nie potrzebny. No, chodź do bagienka, będziemy polować.

Bagienko było niedaleko, ómy owadów uwijały się nad niem. Zielony panek, wskoczywszy na nadbrzeżną krzewinę, zaczął łapać kręcące się muszki.

— O masz, już złapałem komara, wcale smaczny, a teraz muchę i drugiego komara i jeszcze jedną muchę.

— Słuchaj, ale ty jej nie zjesz — zawołał Promyczek widząc, że Pięknótek połyka wszystko, co mu się schwytać uda.

— Nie chcesz chyba, żebyś był głodny, zresztą to tylko małe muszki.

Promyczek, przywiązawszy chustkę do kawałka kija, łapał także, ale, niestety, same zwyczajne, drobne owady.

— Już — rzekł może po godzinie Pięknotek, zeska-
kując z krzewiny.

— Już! — zawołał uradowany Promyczek — więc
masz?

— Nie, nic nie mam — odpowiedział zielony panek,
gładząc z zadowoleniem swój mundurek — tylko już nie
jestem głodny.

— A mucha?

— Mój drogi, ja się właśnie nad tem zastanawiałem
i widzę, że ciotka dobrodziejka przemądrzyła. Przecież
nie można spędzić wszystkich much z całego lasu i wy-
brać z nich największą. Zanieś dzięciołowi wszystko, co
tu nałapałeś, lepiej jeszcze na tem wyjdzie.

— Ależ jaszczurka wyraźnie mówiła, że tej jednej
największej potrzeba.

— Co tam jaszczurka! Wiesz, co ja myślę, oto nie
nie szukajmy i idźmy odrazu, a jeśli nas nie puszcza, to
wiewiórcę i dzięciołowi szyję ukręcę. Cóż znowu! żebyś-
my się jakiejś tam wiewiórcę i jakimś tam ptaszkowi
wysługiwać musieli. No, już ja ci powiadam, że tak bę-
dzie najlepiej.

— Co mi tam po twoich zapewnieniach! — wykrzy-
knął zniecierpliwiony Promyczek — widzę, że jesteś za-
rozumiały niedołęga i tylko czas przy tobie tracę. Powi-
nienesz być odrazu powiedzieć, że pojęcia o niczem nie
masz, a nie porywać się na nie swoje rzeczy.

Pięknotek, który w języku nikomu nie ustępował,
chciał już wybuchnąć, kiedy nagle dał się słyszeć wielki
hałas. Ptastwo, zabierające się do nocnego snu, porwało
się nagle z gniazd i gromadą całą uciekało, wiewiórki
wyjrzały z dziupli i pochowały się czempredziej, sowy za-
hukały, a puszczyk się zaśmiał. Równocześnie rozległo
się głośnie krakanie.

— Wiedźmo-wrona! — wrzasnął zielony panek i chlup
w wodę. Promyczek zaś, spostrzegłszy dębcaz, wskoczył
nań, zsunął się w wydrążony pień i słyszał, jak burza zer-
wała się w całym lesie, jak wichher łamał gałęzie i jak po-
toki deszczu lały się gwałtownie. Grzmot rozlegał się
ponuro, a ogniste błyskawice rozdzierały czarne niebo.

VI.

Rosa wieczorna.

Brzydalinka wracała małą, ukrytą wśród traw
drożyną; myśl jej odbiegała ciągle do Promyczka i Śnie-
gulinki.

— Jakżebym rada im pomódz — mówiła sobie — ale
coż ja biedna i brzydka żabka mogę. Pięknotek obiecał
wszystko wynaleźć, nie bardzo ja mu wierzę, ale zawsze
pewnie więcej potrafi odemnie. Wieczór już się zbliżał,
słońce chyliło się ku zachodowi, w lesie powiał orzeźwia-
jący wietrzyk. Wtem Brzydalince dał się słyszeć jakiś
głos; zdawał się spływać z góry, cichy był jak szmer ru-
czaju, a niewymownie wdzięczny i miły. Głos ten śpiewał:

Słońce ciska złote strzały
Świeci, grzeje cały świat,
Wiednie listek, schnie krzew mały,
I omdlewa biedny kwiat.

Z chmurek nieba spływam już,
Gdy przycichnie dzienny gwar,
Na kielichy leśnych róż
Leję chłodny rosy czar.

Każden kwiatek tutaj poję,
Każdy listek tutaj znam,
Gdy pragnienie ich ukoję,
Wrócę do błękitów bram.

Na promieniach słonecznych spuszczała się ku ziemi
jakaś wiotka, niewieścia postać. Okrywała ją lekka sza-
ta z błękitnych chmurek utkana, niezastygłe krople lśni-
ły na niej i na jej srebrnych rozpuszczonych włosach,
a białe i złotawe mgły owiewały ją naksztalt płaszcza.
Piękna pani, dotknawszy lekką stopą ziemi, zaczęła się
nachylać nad trawami i kwiatami, lejąc na nie ożywczy
płyn z tęczowego dzbaneczka.

Brzydalinka przyglądała jej się oniemiała z zachwy-
tu; dziewica zbliżyła się wkrótce i nachyliła się nad przy-
laszczką, pod którą znajdowała się żabka, mówiąc ciągle:

Każden kwiatek tutaj poję,
Każden listek tutaj znam.

— Ach — pomyślała Brzydalinka — ona musi także
wiedzieć, gdzie jest szmaragdolistna leszczyna z cukro-
wym orzechem.

I zapytała: Czy pani wie także, gdzie się znajduje
leszczyna ze szmaragdowymi liśćmi?

— Zapewne, że wiem — odpowiedziała cichym gło-
sem zagadnięta, — znajduję się w orszaku Wiośniany,
córkę słońca, co wieczór spływam na ziemię i nazywam
się Rosą wieczorną.

— Ach, pani! — zawołała Brzydalinka, składając
łapki — czy nie byłabyś tak dobrą i laskawą i czy nie po-
wiedziałaś mi, gdzie się ona znajduje?

— Tak bardzo pragniesz ją znaleźć?

— Ach, bardzo.

— Ale ja darmo jej nie wskażę, musisz mi oddać
jedną przysługę.

— Byleby nie była nad moje siły, chętnie ją wy-
wyświadczę.

Rosa wieczorna skierowała się na stronę i pokazała
Brzydalince małą kolczastą roślinkę.

— Tę roślinkę tak robaczki opadają, że kwiat zawsze
w pączku wędnie, i ziarenka nigdy nie dojrzeją, żal mi jej.
Otóż chcę, żebyś pilnowała mi tej roślinki, żebyś oczysz-
czała ją z mszyc i chwytala wszystkie owady, jakie ją
obsiadają. Jeżeli uchronisz kwiatek, i ziarenka dojrzeją,
wówczas pokażę ci szmaragdolistną leszczynę.

Na skrzydłach ciepłego wietrzyka pofrunęła dalej,
a Brzydalinka zabrała się zaraz do dzieła.

Roślina była kolczasta, wybierając robaczki Brzy-
dalinka kaleczyła sobie łapki, lecz jej to nie zniechęcało.

— Nie wierzę, żeby Pięknotek orzech znalazł — my-
ślała — a bardzo bym rada przysłużyć się Śniegulince
i Promyczkowi. Będę miała wiele trudu, ale nic bez pra-
cy niema na świecie; to tak miło zrobić komuś dobrze, i ja
nader rzadko mam do tego sposobność.

(d. c. n.)

S Z A R A D A

dla Janka T. od siostry.

Gdy przyimek jest *pierwsze*, to znów *drugie, trzecie*,
Z przyjemnością się spełnia, o tem dobrze wiecie.
W *drugim, piątym* gromadnie rządzi owad drobny,
Do którego z skrętności bądź zawsze podobny.
A jeśli *wszystkim* Janek posłusznym nie będzie,
To nazywać go mogą *czwartym piątym* w rządzie.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożyła Jutrzenka z Podlasia.

Znaczenie wyrazów: 1) Miasto nad Bzurą. 2) Słynny matematyk z Syrakuz. 3) Miasto w Czarnogórze. 4) Boginie greckie, zamieszkujące góry Atlasu. 5) Król syryjski. 6) Miasteczko w gub. Lubelskiej. 7) Miasto w Japonii. 8) Postać biblijna. 9) Wyspa słynna bitwą Persów z Grekami. 10) Miasto nad Wisłą. Początkowe i końcowe litery tych wyrazów złożą dwóch proroków hebrajskich.

Sylaby: Ar—ce—he—an—re—yo—a—sa—za—zgierz
—chi—ty—spe—tyoch—jo—ko—bel—la—kro—me—nia
—ry—des—wiec—ha—mi—czym—dy—ma—na.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

ułożył Strzelec dla Cesi P.

. Zastąpić kropki literami, aby
. pierwsze litery pionowo i poziomo
. utworzyły nazwisko słynnego żeglarsza. Rząd 2) Miejscowość w dolinie Prądnika. 3) Imię męskie. 4) Kanton w Szwajcarii. 5) Zaimek osobowy. 6) Samogłoska.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 46-go

Szarady: Ma — te — ma — ty — ka.

Łamigłówki w kwadracie:

L	e	o	n	a	r	d	o
T	e	s	s	a	l	i	a
K	r	o	k	o	d	y	l
O	r	e	n	b	u	r	g
W	i	r	g	i	n	i	a
B	a	r	b	a	d	o	s
A	r	k	a	n	z	a	s
K	a	m	b	i	z	e	s

Rebusików: Opoka. Zapas. Nadzieja.

Skrzynka do listów.

Pani Zofii K. w Chersoniu. Książek dla 9-o i 12-o letniej młodzieży jest tak wiele, że trudnoby nam było wypisywać wszyst-

kie tychże tytuły; możemy posłać Sz. Paui katalog której księgarni. Wzmianki o tegorocznych wydawnictwach gwiazdkowych znajdzie pani w naszym piśmie.

Nagrody dla *Jaskółki* i *Pliszki* z nad Teterowa wysłaliśmy pocztą. Prośba nasza o odbieranie nagród w Redakcyi, odnosi się do czytelników zamieszkałych w miejscu, lub też mających stosunki z miastem.

Helence K. wysyłamy również przyznaną nagrodę, cieszymy się też nadzieją, obiecaną robótki na gwiazdkę. Dobre serduszek dla biednych Bóg zawsze nagradza! Opowiadanie o „Nieznajomej z poddasza” osnute jest rzeczywiście na prawdziwym zdarzeniu.

Łamigłówki *Rybaka* z nad Wisły o ile tylko okażą się odpowiednie, będą pomieszczone w Wieczorach.

Kazi R. wysyłamy żądany początek powieści.

Gałganki dla staruszek od *M. L.* otrzymaliśmy, czujemy się jednak w obowiązku objaśnić naszym czytelnikom, którzy nam łaskawie takowe nadsyłają, o użytku, jaki czynią z tych gałganków owe *staruszki*.

Przy ulicy Nowowiejskiej pod nr. 32. mieści się obecnie duży zakład dla nieuleczalnych paralityków, blisko sto osób płci obojgu znajduje tam przytułek i opiekę. Zakład powstał staraniem kilku osób dobrej woli i gorącego serca. Na czele stanęły ś. p. Izabela Piłsudzka i Kl. hr. Łubieńska, ich to zabiegom zawdzięczać należy powstanie tej, tak pięknej instytucji. Ponieważ jednak środki utrzymania były nadzwyczaj małe, bo zaledwie kilka osób w szczupłym mieszkaniu pomieścić zdołano, trzeba się było uciec do pomocy ofiarności publicznej. Z hojną ofiarą pospieszył hr. Feliks Sobański, i pozostał już nadal głównym opiekunem i dobroczyńcą tego zakładu. Oprócz tego znalazło się wiele osób, których szczodre datki dopomogły, że dzisiaj tak znaczna liczba nieszczęśliwych znajduje tutaj pomieszczenie i opiekę. Niestety jednak i to już nie wystarcza, próśb podawanych o przyjęcie jest zawsze podwójna, a nawet potrójna i poczwórna liczba jak miejsc wolnych. Znowu więc dzięki hr. Sobańskiemu, wznoszą nowy pawilon, który w roku przyszłym ukończony zostanie, a zarząd żywi niepłonną nadzieję, że nowe ofiary dopomogą, aby zwiększona liczba chorych, która go zamieszka, wyżywną i przyodzianą być mogła. Wiele z tych nieszczęśliwych jest zupełnie niezdolnych do jakiegokolwiek pracy, inni jednak mający władzę w rękach pragną się czemś zająć. Zarząd więc Schronienia o ile może stara się, by każdemu dać jakieś zatrudnienie do sił jego i umiejętności zastosowane, a tym sposobem odpędzić od biedaków smutne myśli o chorobie i niedoli. Pomiędzy więc wieloma innemi zajęciami, wymyślono im następujące: Staruszki niezdolne do czego innego, skubią *gałganki*, inne chore przędą z tej skubanki nici, a z nici, mając na miejscu warsztat tkacki, wyrabiają później przeróżne rzeczy, a więc chodniki, które zaścielają wszystkie schody i sale, spodnice grube, fartuchy, a tak to wszystko dobrze wygląda, że z trudem przychodzi uwierzyć, aby ze stosu różnorodnych gałganków tak ładne rzeczy powstały.

Prosimy więc gorąco naszych czytelników, by wszystkie niepotrzebne skrawki, których w każdym domu tyle się wyrzuca, zechcieli zbierać i za naszym pośrednictwem dla Schronienia nieuleczalnych odsyłać.

Wszystkie też inne ofiary, czy w pieniądzu, czy w naturze w naszej redakcyi składane być mogą.

Zaginione numera *Regince Sz.* z Kalisza będą posłane, jeśli odbierzemy dokładny adres. Nie pisze się „z powodu niepobytu” lecz „z powodu nieobecności”. Rozwiązanie dobre.

Choć jestem Jaskółką, nie odstraszasz mnie bynajmniej, Deszczu Jesienny, nie uciekam od ciebie, przeciwnie, podążam na przeciw i niosę odpowiedź. Wierszyk twój bardzo jest zgrabny, tak jednak chwalisz „Wieczory” — że Redakcja przez skromność drukować go w swoim piśmie nie może, nie wypada pisać sobie rymów pochwalnych. Obierz inny temat, a wtedy o wydrukowaniu pomyślemy.